

Konrad Turzyński

O słowach zakłamywanych przez Lewicę

*Antysocjalistyczne
Mazowsze*

9 sierpnia 2004 r.

<<http://www.asme.pl/1092015772,903,.shtml>>

Wiele lat temu znalazł się w moim posiadaniu egzemplarz pewnego (podwójnego) numeru wschodnioniemieckiego dwumiesięcznika **"Der Esperantist"**. Trochę odmiennie od przyzwyczajęń Polaków pamiętających PRL, u naszego (ówczesnego) zachodniego sąsiada **komunistyczna** ideologia była znacznie bardziej wszędobylska i nachalna. I tak właśnie numer 59/60 (obejmujący miesiące od czerwca do października 1973 r.) już na pierwszej stronie okładki zawierał esperancki przekład (dokonany wprost z rosyjskiego oryginału) pamiętnej z czasów **komunistycznych** pieśni **"Hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej"**. Współtwórcy owego pisma byli tak postępowi, że nawet w jego tytule używali wyłącznie małych liter, wbrew zasadom niemieckiej pisowni.

Wertując, natrafiłem w nim na dwustronicową recenzję pewnego kieszonkowego słownika niemiecko-esperanckiego wydanego w Lipsku w 1971 roku. Autor recenzji Detlev Blanke wykazał się czujnością ideologiczną i wytknął słownikowi parę wad, m.in. z **komunistycznego** punktu widzenia. Jedna z tych "wad" zapadła mi w pamięć już przed 30 laty. gdy czytałem ową recenzję po raz pierwszy. Zdaniem Blankego, niesłusznym było dokonanie w języku międzynarodowym **esperanto** kalki z dwóch wyrazów niemieckich: **"Arbeitsgeber"** i **"Arbeitsnehmer"**. Recenzent uważa, że naśladowanie *"mglistej terminologii zachodniej"* to *"znakomity przykład, jak nazewnictwo zachodniej ekonomii politycznej zamazuje rzeczywiste okoliczności, które są zdeterminowane klasowo"*.

Patrząc z takiego punktu widzenia można by dokładnie ten sam zarzut postawić tym, którzy analogicznej kalki dokonali w naszym, polskim języku. Stąd mamy w polszczyźnie — odpowiednio — wyrazy: "pracodawca" i "pracobiorca" (ten drugi jednak coraz rzadziej używany). Blanke pozostawił już wyćwiczonej domyślności czytelników wschodnioniemieckich dopowiedzenie sobie, że przecież jest dokładnie odwrotnie niż to sugerują owe nazwy: to nie fabrykant świadczy pracę robotnikowi, lecz robotnik — fabrykantowi, toteż faktycznym praco-dawcą jest robotnik, faktycznym praco-biorcą jest fabrykant.

Zastanowiłem się nad tym raz jeszcze: czy pogląd zwalczany w recenzji Blanego jest rzeczywiście "burżuazyjnym", "zachodnim" poglądem? Przecież to właśnie lewicowe hasło "chleba i pracy!" utrzymywało w całych społeczeństwach myśl, że to, czego domagają się bezrobotni, to "praca", że jacyś "oni" (czyli "fabrykanci", "burżuje", "kapitałiści", no a coraz bardziej także — rządy poszczególnych państw) to COŚ (= pracę) mają i powinni DAĆ ją tym, którzy jej potrzebują. Tymczasem naprawdę owym pożądanym (przez bezrobotnych) dobrem jest nie PRACA, lecz PŁACA — gotowość zatrudniającego do płacenia zatrudnionym za wykonywanie pracy (a w razie przestoju za gotowość do jej wykonywania). Zastąpienie słowa "PŁACA" słowem "PRACA" to skrót myślowy, właściwy postawie ROSZCZENIOWEJ, dość typowej u ludzi biednych, którzy — słusznie albo nie — mają poczucie krzywdy z powodu niskich zarobków albo ich całkowitego braku. (Użyłem słowa "roszczeniowa" po to, aby opisywać, a nie — aby oceniać...)

Może zbyt trudno byłoby zamieniać rolami słowa "pracodawca" i "pracobiorca", bowiem siła przyzwyczajenia jest wielka, także na gruncie językowym. Ale cóż by szkodziło w dotychczasowym (nie: "burżuazyjnym", ale właśnie: "socjalistycznym"!) nazewnictwie zmienić jedną literę? Dokładniej, literę "R" zastąpić przez literę "Ł"? W ten sposób przedsiębiorca mógłby (w relacji do tych, których zatrudnia) być nazywany "PŁACODAWCĄ", zaś jego pracownik — analogicznie — mógłby być (zamiennie) nazywany "PŁACOBIORCĄ"? Zgodnie z rzeczywistym kierunkiem przepływu płac, czyli wynagrodzeń za pracę najemną od "płaco-dawców" do "płaco-biorców", a zarazem podobnie (gdy chodzi o brzmienia) do słów, które siła przyzwyczajenia językowego nam podsuwa! Można by także mówić o przedsiębiorcy jako o "zatrudnieniodawcy", a o jego pracowniku jako o "zatrudnieniobiorcy", to są jednak słowa niewygodne z powodu swojej długości; ale przecież to nie "praca", lecz właśnie "zatrudnienie" jest tym, co właściciel firmy "daje" swoim pracownikom. To "zatrudnienie" jest tym, o czym marzą bezrobotni — jeżeli rzeczywiście marzą: mój nieżyjący już ojciec opowiadał mi, że w latach wojny domowej w Hiszpanii bywał nakłaniany przez agitatorów komunistycznych (a działo się to na Pomorzu Gdańskim, gdzie komunistów zawsze było szczególnie mało!) nie tylko do wzięcia ochotniczo udziału w owej wojnie (po stronie Czerwonych, ma się rozumieć), ale także... do porzucenia zatrudnienia i potem domagania się "chleba i pracy". Ojciec był prostym Kaszubem, ale mimo tego (a może raczej — właśnie dlatego?) nie dał się zbałamucić komunistom wtedy ani nigdy indziej, co także dla siebie uważam za powód do dumy.

Nie jest to jedyny przykład na to, jak coś, co uchodzi za lewicowe, a więc — zdawałoby się — antyprawicowe, naprawdę jest wymierzone w pewien wariant postawy lewicowej. Młodzieżowa subkultura tzw. punków lubi posługiwać się pisaniem na murach niemieckim (ale traktowanym jako międzynarodowe) hasłem: "GEGEN NAZI" (dosłownie: "przeciw nazistom"), wymierzonym w konkurencyjną subkulturę tzw. skinheadów. Niedopowiedzianym założeniem jest tutaj to, że to szlachetni anarchiści ("lewica") protestuje przeciw podłym nazistom/faszystom ("prawicy"). Tymczasem, jak wiadomo z historii, narodowy socjalizm w Niemczech i faszyzm we Włoszech miały rodowód radykalnie lewicowy, z licznymi zapożyczeniami (nie tylko w symbolice) od Marxa, Lenina i Stalina, zaś tam, gdzie jeszcze reguły demokratycznej rywalizacji nie były (przez zwycięskiego jej uczestnika) zniesione — anarchizm, stalinizm, trockizm, faszyzm i nazizm zabiegały o względy mniej więcej tego samego "elektoratu" — ludzi czujących się wydziedziczonymi i pokrzywdzonymi przez ekonomiczne skutki I wojny światowej, a następnie wielkiego kryzysu lat trzydziestych XX wieku.

Warto, aby socjologowie zbadali, czy w dużych miastach podział na dzielnice z przewagą subkultury "punków" i "skinheadów" (na podziały między tymi dwoma nurtami subkulturowymi nakładają się — w zawiły sposób — sympatie i antypatie właściwe środowiskom pseudokibiców sportowych) koreluje z przewagą poparcia wyborczego dla stronnictw używających (odpowiednio) retoryki anty-prawicowej i anty-lewicowej...

Podobne zamieszanie pojęć towarzyszy, znanej ze znacznie bliższych nam czasów, walce antyglobalistów (ostatnio lubiących siebie nazywać "alterglobalistami") przeciwko "globalizmowi" właśnie. Czyli na pozór — "lewica" przeciwko "prawicy" (jak zapewne wolą to przedstawiać ci antyglobaliści, którzy nie wzdragają się otwarcie przedstawiać siebie jako lewicowców), albo... nieomal całkiem na odwrót — "tradycjoniści" (głoszący, że szczególnie szanują: Religię, Rodzinę i Naród) przeciwko "liberałom" (którzy są: bezbożni, kosmopolityczni i w ogóle to w oczach "tradycjonalistów" gorsi już chyba nawet od Czerwonych — naprawdę jednak SA Czerwonymi epoki "postmodernizmu", którzy jednak zwykle przybierają liberalne szylidy!). W ruchu antyglobalistycznym jednak zdecydowanie głównym nurtem jest ten jawnie (i często radykalnie) lewicowy, natomiast głównymi "beneficjentami" globalizmu nie są bynajmniej jacyś "prawicowcy"! Takich można znaleźć raczej wśród "drobnomieszczaństwa", czyli, jak byśmy dziś powiedzieli, ludzi reprezentujących **"small business"**. (Nawiasem: czy ktoś dziś pamięta jeszcze nazwę "drobnomieszczaństwo"? Jeśli tak, to chyba głównym skojarzeniem nasuwającym się przy tej okazji jest epitet mający służyć do napiętnowania wad charakteru tytułowej postaci sztuki **"Moralność pani Dulskiej"** Gabrieli Zapolskiej...) To im, owym niewielkim przedsiębiorcom, zależy na wolnym rynku, a więc także na państwie, które by przeciwdziało skłonnościom monopolistycznym w poszczególnych gałęziach gospodarki. Ci zaś, którzy już zdobyli pozycję "rekinów" na skalę światową (czyli główni akcjonariusze "ponadnarodowych" spółek) są raczej za tym, aby nikt nie dobierał się im do ich monopolistycznych praktyk. To tacy ludzie w swoim czasie finansowali rewolucje w Rosji (leninowską) i w Niemczech (hitlerowską). Do takich osób należeli m.in. trzej Niemcy, bracia Wartburgowie*, jeden w Berlinie, a dwaj w Nowym Jorku, będący udziałowcami firmy bankowej Kuhn, Loeb & Co. z Wall Street, która to firma uczestniczyła w finansowaniu obydwu tych rewolucyj. Sporo innych szczegółów o udziale prominentnych postaci ze środowisk polityków i bankierów na Zachodzie we wspieraniu lewackich projektów zmieniania świata przedstawił Stanisław Siekanowicz w artykule **"Kto finansował bolszewików i Hitlera?"** (**"Nasza Polska"**, nr 46[60] z 13 listopada 1996 r., str. 10 i 12). Znany "rekin" biznesu, niejaki Armand Hammer współpracował ku obopólnej korzyści z kilkoma generacjami sowieckich dyktatorów, od Lenina po Breżniewa co najmniej. (Wbrew pozorom "Armand Hammer" to nie jest rewolucyjna ksywka, lecz autentyczna nazwa osobowa, która jednak nie tylko nazywa, ale także znaczy: **"armand"** to po francusku "sierp"**, zaś **"hammer"** to po angielsku, jak też po niemiecku, "młot"; jego rodzice nadali mu takie imię świadomie z myślą o znanej rewolucyjnej zbitce symboli...) Współczesnym plutokratą, nie ukrywającym swojej radykalnie krytycznej postawy wobec kapitalizmu, a wspierającym finansowo nowoczesne formacje socjaldemokratyczne, jest Amerykanin, niejaki George Soros (właściwie: György Sörös***, zgodnie z jego wywodem się z Węgier); na ogół lewicowcy są bezwyznaniowi, ten jednak ma osobliwą cechę pod tym względem: za Boga (już od dzieciństwa) jest skłonny uznawać... siebie samego. O jego dokonaniach pisała np. Wiesława Mazur w artykule **"Wąż Sorosa"**, (**"Nasza Polska"**, nr 50[64] z 11 grudnia 1996 r., str. 1 i 8-9).

Jak zatem widzimy, lewicowe (a raczej nawet — lewackie) zniekształcenie sensu takich słów jak "FASZYZM" i "GLOBALIZM", jakie ostatnio dość często spotykamy, aż "się prosi" o przywołanie ewangelicznego obrazu wypędzania diabła za pomocą Belzebuba (por.: **Mateusz 12:24-29**, **Marek 3:22-27** i **Łukasz 3:15-18**).

* W rzeczywistości: **Warburg** (a nie – jak mylnie napisałem – **Wartburg**), bracia byli niemieckimi Żydami: w Nowym Jorku – **Felix Moritz Warburg** (1871 – 1937), od 1895 r. zięć Jacoba Heinricha Schiffa, i **Paul Moritz Warburg** (1868 – 1932), od 1895 r. zięć Solomona Loeba; w Berlinie – **Max Moritz Warburg** (1867 – 1946). W artykule Stanisława Siekanowicza (który kiedyś był – już nie jest – dostępny pod adresem internetowym <http://www.quovadis.com/ppn/siekan.html>) widnieje pisownia "**Wartburg**" i wskazanie niemieckiej (po prostu) narodowości tych trzech braci. Zob. także: <http://www.nndb.com/group/972/000163483/>, http://en.wikipedia.org/wiki/Warburg_family.

** Tak rzeczywiście napisałem w 2004 r., w takiej wersji ów tekst został zarchiwizowany przez AntySocjalistyczne Mazowsze, więc tak zostało. Jednak napisałem nieprawdę, nie upewniwszy się zawczasu. Wyraz "armand" NIE oznacza po francusku (ani zresztą po angielsku) "sierp"! Nie wiem, skąd mi się to uroiło! Carl Blumay, biograf i były rzecznik prasowy **Armanda Hammera**, twierdził, że **Julius Hammer** nadał imię "Armand" swojemu synowi (urodzonemu w 1898 r.), aby utworzyć grę słów z ich nazwiskiem: "Armand Hammer" = "Arm and Hammer" = "Ramię i Młot". Właśnie "**Ramię i Młot**" to emblemat amerykańskiej "**Socjalistycznej Partii Pracy**" ("**Socialist Labor Party**"), której jednym z liderów był właśnie **Julius Hammer**, dopóki nie doprowadził do wyprowadzenia z niej odłamu, później przeistoczonego w "**Komunistyczną Partię USA**" ("**Communist Party of the USA**"). Zob.: także: <http://www.historycy.org/index.php?showtopic=12092>, <http://www.nndb.com/people/314/000024242/>. Samo nazwisko w tej rodzinie nie musiało mieć rodowodu **komunistycznego** (jak pseudonim "Молотов" = "Mołotow" znanego **sowieckiego** polityka /stalinowskiego ludowego komisarza tj. ministra spraw zagranicznych/, którego rodowe nazwisko brzmiało arystokratycznie "Скрябин" = "Skriabin"), zapewne było raczej dosłownym przekładem (na języki: niemiecki i angielski) znanego starotestamentowego przydomku "המכבי" = "Makabi" = "Młot".

*** Po polsku to znaczyłoby dosłownie: "Jerzy Piwny". György Sörös (w węgierskiej kolejności: **Sörös György**) to węgierski Żyd, pierwotnie nazywał się György Schwarz (w węgierskiej kolejności: **Schwarz György**). Uciekł z **komunistycznych** Węgier w 1946 r. dzięki udziałowi w **kongresie młodych esperantystów**. Zob.: także: <http://www.nndb.com/people/293/000023224/>.